

LENKA ELBE

⁹²U ⁸⁸Ra No vA

Tłumaczenie: Anna Dorota Kamińska



MO
vA

LENKA ELBE



PRZEŁOŻYŁA Z CZESKIEGO

Anna Dorota Kamińska



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Uranova

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczynie: Agata Garbowska-Karolczuk

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Beata Wójcik

Projekt okładki: Marta Lisowska

Zdjęcie na okładce: © sudowoodo, © Marina Zlochyn / Stock.Adobe.com

Wyklejka: © BellonaAhillia / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © Lenka Elbe, 2020

Copyright © 2022 for the Polish edition by Mova

an imprint of Wydawnictwo KobiECE sp. z o.o.

Copyright © for the Polish translation by Anna Dorota Kamińska, 2022

Publikację książki wsparło Ministerstwo Kultury Republiki Czeskiej.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

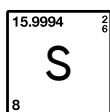
Białystok 2022

ISBN 978-83-67335-14-0

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl



2. I ZNOWU BYŁO ICH DWOJE



uzanne Accord również odpowiedziała mu „tak”, ale ją Henry zapytał nieco romantyczniej. Z pierścionkiem i przyklękaniem, jak to widział w filmach. Była Francuzką i – o dziwo – również nauczycielką. Spotkał ją w szkole, do której trafił w sześćdziesiątym dziewiątym. Suzanne uczyła francuskiego i plastyki. Henry nadal uczył muzyki. Dobrze się dogadywali na zebraniach, rozmawiali przy obiedzie w stołówce, pożyczali sobie gazety. Ona też lubiła Connery’ego, więc wróg był znajomy.

Z Suzanne Henry odczuwał to jakoś inaczej. Nie wykazywał symptomów, które dręczyły go w poprzednim związku, ale ona miała coś, czego Angeli brakowało. Kiedy francuska nauczycielka czekała na tramwaj, autobus czy pociąg, kiedy poruszała się po ulicy, jej nogi zawsze mocno trzymały się ziemi, nieważne: asfalt czy bruk, więc za każdym razem wracała do domu. I to zapewniało Henry’emu błogi spokój.

Ala jednej rzeczy nie znosił. Jadła chleb. W zasadzie nie znosił tego u wszystkich, bo on by się nigdy na coś takiego

nie zdobył: nienawidził tego słowa, nie znosił tego przedmiotu, cokolwiek, co miało coś wspólnego z chlebem, wywoływało u niego panikę, dygotał wtedy cały, pojawiał się u niego lekkie tik, oddychał z trudem i chciało mu się wymiotować. Oczywiście w końcu znenawidził także bułki, bo tylko udawały, że są czymś innym, a naprawdę były chlebem w miniaturze. Może dlatego był tak szczupły. I to mimo tego, że rezygnację z wypieków wynagradzał sobie słoniną. Suzanne jednak kochała pieczywo, przede wszystkim typu francuskiego, i upierała się, że musi je jeść. A przy tym była bardzo, naprawdę bardzo chuda, nie lubiła mięsa, chleb był podstawą jej diety. Pod tym względem była nieustępliwa – albo weźmie ją razem z chlebem, albo nie dostanie jej w ogóle.

– No dobrze, niech będzie – postanowił w końcu Henry.

Suzanne usiłowała nie afiszować się zbyt zbytnio z mącznym przedmiotem jego nienawiści, nazwę zastępowała wyrazami z języków obcych, ale czy to w jej rodzimym francuskim, czy też włoskim, niemieckim – w każdym języku Henry czuł, że to słowo oznacza coś z mąki, co jest ciepłe, chrupiące, pulchne, czyli całkowicie odrażające. W końcu przyjął się sam zaimek „to”, którego używali zarówno Suzanne, jak i psychoterapeuta Henry’ego.

Co Henry zaoszczędził na chlebie, wydawał na lilie. Kupował je na cmentarz. W tajemnicy. Grób Angeli kazał zrobić zaraz po tym, jak musiał się wyprowadzić z domu, bo ten przypadek któremuś z jej najdalszych krewnych, spod Liverpoolu, komuś, o kogo istnieniu Angela nie miała za życia nawet pojęcia. Przeprowadzka odbyła się jakiś miesiąc po przekazaniu mu w ambasadzie informacji o tragicznym wydarzeniu. Wiedział już wtedy z telewizji, że Czechosłowację okupuje armia sowiecka i inne wojska Układu Warszawskiego, nie pozostało mu zatem

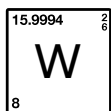
nic innego, jak tylko usiąść na tyłku w nowej, wynajętej kawalerce, sprzedać biżuterię po matce Angeli, a za otrzymane pieniądze i wszystkie oszczędności kupić miejsce na cmentarzu i zamówić gustowny, godny nagrobek.

ANGELA KURZ
1.02.1946–20.08.1968

Czarny polerowany granit i srebrne litery. Bez zdjęcia, bez epitafium. Bardzo klasyczny grób. Bardzo drogi. I pusty. By trumna skrywała przynajmniej cokolwiek, włożył do niej fotografię, kilka ubrań Angeli i trochę drobnej biżuterii, której nie sprzedał. Nic specjalnego, bo też nie miała wielu rzeczy. Jej największym majątkiem był ten grób.

Suzanne towarzyszyła Henry'emu na cmentarz co czwartek, w dniu, który był zawsze zaznaczony na ich wspólnym kalendarzu stołowym ze zdjęciami walijskich zamków i pałaców. Poza czwartkami Henry chodził na grób sam, w sekrecie. Mógł wtedy rozmyślać o Angeli tak, jakby była wciąż żywa, mógł ją sobie wyobrażać i rozmawiać z nią. I przynosić jej lilie. Piątkowe lilie, które tuż przed regularnymi czwartkowymi odwiedzinami z Suzanne musiał szybko uprzątnąć. Ona bowiem kupowała jakieś polne kwiecie, które długo się trzymało i nie kosztowało dużo. Nie miała pojęcia, że ich rodzinny budżet jest i tak co miesiąc uszczuplany o koszt czterech czy pięciu lili, który ze względu na cenę Henry ledwo mógł pokryć z oszczędności za ten odrzucany chleb.

3. DROGA DO NOWEGO MILENIUM BRUKOWANA JEST ANALGETYKAMI. GŁÓWNIEM W CZWARTKI



roku dziewięćdziesiątym dziewiątym Suzanne i Henry przeżyli razem już trzydzieści lat. Ślubu nigdy nie wzięli. Zawsze go odkładali na następny rok.

– Wiecie co, mamy już po pięćdziesiąt cztery lata, więc w sumie to nie wiem – odpowiadała Suzanne na pytania wścibskich koleżanek.

– Może w przyszłym roku, na przełomie tysiącleci, to będzie taka ładna data, rok dwutysięczny. Wtedy moglibyśmy w to wejść – odparł raz Henry na pytanie kogoś, na kogo wpadł przypadkiem i nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywa.

– Kto wie? – śmiała się Suzanne, bo po prostu tak to sobie wypracowali.

Henry nie wiedział, co by mogło się stać w przyszłym roku, nie czekał już na nic, z kolei Suzanne po tylu latach doskonale wiedziała, że nic by to nie dało, wręcz przeciwnie.

Dzieci nie mieli, chociaż z największym prawdopodobieństwem mogli. Może dlatego, że Suzanne trochę się dzieci bała.

Kiedy tylko odzywał się do niej dziecięcy głosik, okropnie ją to przerażało, a potem zawsze trwało chwilę, zanim zdołała się ponownie skupić. Dla nauczycielki oznaczało to codzienną walkę z sobą samą. Henry, także nauczyciel, nie miał takich objawów jak Suzanne, założenie rodziny w ogóle nie było dla niego ważne. Dojrzewającą młodzież, z którą mieli w swoim życiu nieustannie do czynienia, zawsze z radością pozostawiali za bramą szkoły. Nawet jeżeli szli w tym samym kierunku. Wtedy Henry albo się chował, albo udawał, że idzie w drugą stronę, odczekał, aż wszyscy znikną, a potem siedł sam. Dzieci po prostu nie znosił, ale nigdy tego po sobie nie okazał i dziewięćdziesiąt procent szczyli nauczył jako tako grać na fortepianie. Nawet tego gówniarza, co przychodził do niego w każde czwartkowe popołudnie, miał strasznie krótkie palce i brak szacunku dla autorytetów. I tym razem sobie z nim poradził, jak zwykle wyrzucając go z lekcji pięć minut wcześniej. Był czwartek, spieszył się przecież prosto na cmentarz.

Teraz, po trzydziestu latach, Henry także w czwartki chodził tam samotnie. Lilii nie musiał już kupować ukradkiem – w ogóle z nimi skończył. Właściwie to nie odwiedzał nawet Angeli, bardziej odwiedzał cmentarz dla samego siebie. Często się zastanawiał, które z nich właściwie ma lepiej – on czy ona? Jak duża jest różnica w ich życiu? W niektóre czwartki ledwo się zatrzymywał przy jej grobie – czy też przy pomniczku, bo przecież ciała wewnątrz nie było. Wolał spacerować między nagrobkami i ćwiczyć matematykę. Obliczał, w jakim wieku ten czy tamten człowiek zmarł, żeby ustalić liczbę lat, o jaką był od Henry’ego starszy lub młodszy. Zawsze kończyło się to rozważaniem, czy przypadkiem nie powinien już kupić jakiegoś grobu rodzinnego, mimo że z bliskich miał oczywiście tylko Suzanne. Chociaż kwiatów już nie przynosił, o grób Angeli

od czasu do czasu zadbał: wrywał niepotrzebną trawę, czyścił kamień z kurzu i przyniesionych przez wiatr liści, ewentualnie porządkował rośliny zimotrwałe – i na tym koniec.

W ten czwartek na cmentarzu spotkało go coś niezwykłego. Przynajmniej tak mu się wydało, a jego mózg zapisał to bezwiednie w mało zapełnionym katalogu zatytułowanym *Dziwne i niezwykle*. Na grobie siedział kruk. Był to wprawdzie nagrobek zupełnie obcej osoby, której wiek w chwili śmierci Henry obliczył na lat siedemdziesiąt osiem, ale nie w tym rzecz – ptak po prostu tkwił na kamieniu i gapił się na niego. Taki stereotyp. Kruk. Ale co z tym zrobić... Henry był niestety w takim stanie psychicznym, w jakim był, nie mógł pozbyć się wrażenia, że to z pewnością jakiś znak. Czegokolwiek. Od lat czekał na jakiś sygnał i miał nadzieję, że jeszcze choć raz w jego życiu będzie musiało wydarzyć się coś nowego i nieznanego. W drodze do domu dowiedział się do tego o otwarciu nowej stacji metra, co dodatkowo wzmocniło tę wzbierającą falę nieznanych wcześniej impulsów – właściwie wydało mu się jeszcze ciekawsze od czarnego ptaszyska.

Po powrocie do domu usiadł do zamkniętego pianina. Poczucie zadowolenia z powodu cmentarza i metra już zelżało. Ogarnął go nastrój melancholijny, smutek, który skłaniał do przerywania ciszy metronomem i zasluchania się w dźwięk jego regularnego tykania. Ale to nie było w stylu Henry'ego, a poza tym przez lata zdążył znienawidzić metronom, więc ruszył pod smażyć sobie boczek. Zasluchał się w trzaskanie i skwierczenie rozpływającego się na patelni tłuszczu. Uwielbiał go na chrupko, niemal przypalony. Pozbierał kruche ciemnoczerwone paski do miski, usiadł w fotelu w salonie i zabrał się do jedzenia.

– Ach tak – usłyszał ciężkie westchnienie Suzanne z przedpokoju. Wróciła ze szkoły.

Długo mu się nie pokazała. Nawet się nie przywitała. Doskonale wiedział, co robi. Na pewno ostrożnie wyjęła z torby świeży chleb i przy kuchennym blacie, wprost z papierowej torebki, odłamuje kawałki i wpycha do ust. Niespieszny i spokojny rytm francuskiego posiłku dawno zginął, teraz po prostu pochłaniała go nad zlewem i już. A on udawał, że o tym nie wie. Ani drgnął, dopóki nie usłyszał dźwięku płynącej wody, którą Suzanne splukiwała okruchy z dna blaszanego zlewu. Przy tej okazji zawsze nalewała sobie wody do szklanki i połykała leki przeciwbólowe. Potem umyła zatłuszczonej patelnię po boczku, oczyściła cały zlew płynem i wypolerowała jak lustro.

Taki był czwartek. Każdy.

((·))

Zaskoczony doktor Polak wcisnął się głębiej w fotel i zamilkł. Po chwili zastanowienia znowu pochylił się w stronę Henry'ego.

– Jeżeli może pan zdzierżyć, że pana żona je „to” w domu, a nawet pan wie, że „właśnie żuje”, gdy pan jest w pokoju obok, zrobił pan ogromne postępy. Gratuluję, w zasadzie jest już po wszystkim! – zawołał doktor Polak zachęcająco.

– Nie jest. Nie jest po wszystkim – zaprotestował Henry.

– Ale proszę przyznać, że jest chociaż trochę lepiej – przekonywał lekarz.

Henry chodził do doktora Polaka już trzydzieści jeden lat. Był to psycholog, który zajął się nim zaraz po tym, jak Henry zwymiotował i zemdlął w ambasadzie Czechosłowacji. Z początku omawiali problemy Henry'ego co piątek, a po trzech dekadach ograniczyli się do co trzeciego. Chociaż o Angeli opowiadał coraz rzadziej, co doktor określił jako klasyczny przykład wyparcia, poczucie beznadziejności Henry'ego i odraza do

ludzi żujących pieczywo się wzmagały. Najbardziej jednak niepokoiły doktora te cmentarne czwartki.

– Przyznaję, że mam... choć może już nie mam... silne uczucia związane z... no wie pan. Ale wciąż mnie bardzo złości fakt, że właściwie nie wiem, co się stało. To było tak daleko. Nikt nie był w stanie niczego mi powiedzieć. Ten kraj... – analizował Henry cichym głosem, ale nagle przerwał.

– Był odizolowany, tak, Wschód, wyjaśnia mi to pan co piątek – uzupełnił Polak. – A ja co piątek mówię o terapii reminiscencyjnej.

– Co trzeci piątek – poprawił go Henry.

– Wie pan o tym, Henry, po prostu usiłuję panu zasugerować, że teraz ten kraj jest już otwarty, ostatnie dziesięć lat to tylko kwestia kilometrów, sam tam byłem. W Pradze. Coś pięknego. Dlaczego pan się przed tym broni? Dotrzeć konkretnie tam, gdzie to się stało, mieć możliwość wyrzucenia z siebie emocji... To mogłaby być właśnie terapeutyczna podróż.

Henry się zamyślił.

– Mam tam jechać? To jest zalecenie psychologa?

Polak zrobił dłuższą pauzę. Henry wiedział, że go zaskoczył tak bezpośrednim pytaniem.

– Ja panu tylko wyjaśniam, że terapia reminiscencyjna to metoda, która może zadziałać. Gdybym teraz przekonywał i rekomendował coś jako psycholog, byłoby to nieprofesjonalne; raczej radzę jako przyjaciel. Ja bym tam na pana miejscu pojechał. Ale trzeba mieć świadomość, że będzie to trudne. Nie wolno o tym zapominać.

„Nieźle się z tego wykręcił, doktor. Że niby radzi jako przyjaciel”. Ale właściwie nim był. Henry z nikim innym nie nawiązał bliższej relacji, nawet z Suzanne.

– No więc ja to zrobię! – zawołał Henry.

– Naprawdę? – Doktor na pozór się zdziwił, choć raczej chodziło tu o przejaw zawodowej satysfakcji.

– Pojadę do Jachymowa!

Polak tylko z uśmiechem kiwał głową i obserwował pacjenta, tak jak ojciec z troską obserwuje swoje dziecko recytujące wierszyk, by nie zgubiło rytmu.

– Pojadę i pogodzę się z przeszłością! – powtórzył Henry stanowczo.

– No proszę! – Doktor klasnął w dłonie.

Wieczorem Henry się rozmyślił. „Terapia reminiscencyjna? Gówno! Nigdzie nie jadę, a już na pewno nie do Jachymowa!”

Następnego dnia znowu chciał jechać, kolejnego raz jeszcze nie chciał, potem znowu chciał, potem znowu nie. Suzanne w tych dniach potajemnie zjadła kilka bochenków chleba, Henry usmażył kilo i ćwierć boczku, po czym znów był czwartek i Henry poszedł na cmentarz.

(((·)))

Tego dnia strasznie to było od niej czuć. „Na pewno była we francuskiej piekarni, musiała się chyba wytarzać w wypieczonych skórkach!”

Suzanne popijała w łóżku leki.

– Biorę tyle leków przeciwbólowych. Naprawdę jestem już taka stara? – zastanawiała się na głos.

Ponieważ byli równoletkami, a on co czwartek chodził po cmentarzu w poszukiwaniu swojej przyszłości, wołał uznać jej pytanie za retoryczne. Suzanne ułożyła się w pozycji, w której nie bolało jej prawe ramię ani lewe biodro, i wyglądała w niej jak Superman, który leci w górę w stronę Kryptonu i jednocześnie tańczy szkocki taniec ludowy. To wszystko, leżąc na brzuchu. Henry połknął swoją tabletkę na sen i zastanawiał się, czy

jest trochę prawdy w tym, że kto nie umie, ten uczy. Strasznie go denerwowało, że ludzie tak mówią. Potem zaczął rozmyślać nad tym, dlaczego go to denerwuje. Czy to nie dowód, że jest w tym trochę prawdy? A to go wkurzyło jeszcze bardziej. Swojego gniewu oczywiście nijak nie okazał. W tym był dobry.

– Może moglibyśmy zrobić sobie latem urlop. Na przykład wypróbować ten pociąg pod kanałem La Manche i wybrać się do mojej rodziny we Francji – rzuciła Suzanne z twarzą w prześcieradle.

„W żadnym wypadku nigdzie nie jadę pociągiem, a już na pewno nie do Francji”. Zanim Henry zdążył zmienić swoją myśl w wypowiedź, odwrócił się na bok, plecami do Suzanne, i zamknął oczy.

– To już raczej pojedę do tego zasranego Jachymowa – wymamrotał.

„Dobranoc”. Tego nie powiedziało żadne z nich.
Spali źle. Jak zwykle.

(((·)))

– Myślę, że dacie radę – wsparł Henry’ego doktor Polak na kolejnej piątkowej wizycie po trzech tygodniach. – Jak mówiłem, byłem tam trzy lata temu i jest bardzo ładnie. A ten kurort Carlsbad też jest z pewnością piękny: kolumnady, secesyjne altany, gorące źródła... Ma atmosferę.

– To był pomysł Suzanne. – Henry starał się sprowadzić sytuację do właściwych wymiarów.

– I bardzo dobrze to wymyśliła – zachwyił się doktor, chociaż wszystko było wynikiem konspiracyjnej rozmowy telefonicznej między nim a Suzanne, o której Henry co prawda nie wiedział, ale coś przeczuwał. – Po prostu jedźcie, odpocznijcie sobie w uzdrowisku, a potem się w spokoju zastanówcie,

czy odwiedzić też to drugie miasto, które jest, nawiasem mówiąc, bardzo niedaleko – planował Polak, sięgając przy tym do biblioteczki po atlas, w którym następnie znalazł mapę Europy Środkowej i Czech. – Sprawdziłem dla pana, do tego Jachymowa jest tylko dziesięć kilometrów. – Wskazał palcem na mapie.

– Dziesięć czy dwadzieścia... a gdybym w końcu postanowił tam pojechać, to co tam mam niby robić?

Polak pochylił się do Henry’ego.

– Musi pan tam sobie powrzeszczyć. Zakłąć. Dać upust emocjom, znaleźć coś, na czym tę całą wściekłość da się wyładować. – Potem zbliżył się jeszcze bardziej i szepnął: – I coś tam zniszczyć.

– Mam coś zniszczyć?

– Coś małego, jakiś nic nieznaczący, przypadkowy przedmiot. Nic, za co by pana zamknęli – wyjaśniał doktor swoją radę, jakby chciał ją odwołać. – Albo wie pan co, lepiej tylko powrzeszczyć, chodzi o pogodzenie się z tym miejscem. Oddzielić przeszłość grubą kreską, pozbyć się fobii na punkcie pieczywa, pozbyć się lęku, bezsenności, cementarnych czwartków i iść na przód! – Koniec zdania Polak niemal wykrzyczał.

Henry się skrzywił, zaczął dyszeć i dziwnie charczeć, jakby się zakrztusił okruciami i usiłował je wykaszleć.

– Ch... ch...

– Co panu jest, niedobrze panu? – zaniepokoił się doktor.

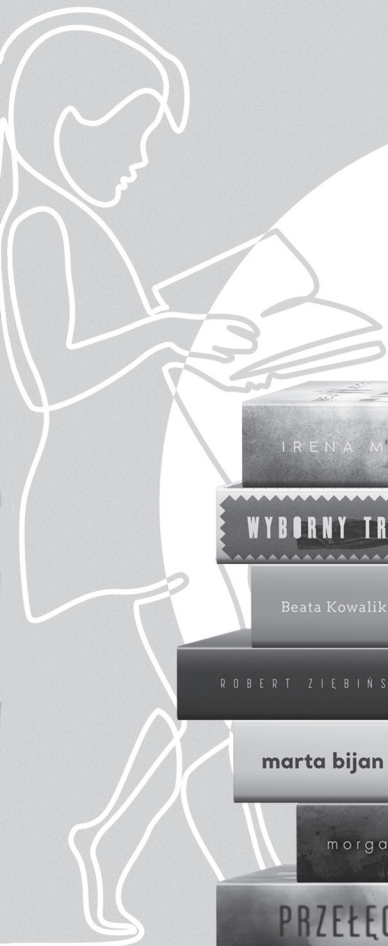
– Ch... ch...

Doktor Polak był profesjonalistą. Chociaż wyglądało to na wylew, szybko się zorientował, o co Henry’emu chodzi. O demonstrację siły i zwycięstwo nad własnym strachem. Oparł się w fotelu i z napięciem oczekiwał.

– Chleb!!! – wrzasnął Henry.



HISTORIE WARTE OPOWIEDZENIA



#MOVAODOBRYCHKSIĄŻKACH